

Magdalena Bajer: Żal schowany głęboko

Teraz, kiedy mamy w Europie sytuację nierównie bardziej skomplikowaną, a u siebie owe niepokojące echa, tamta lekcja staje się aktualną przestrogą – przeczytaj w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Polskie rewolucje. Marzec '68” osobiste wspomnienie Magdaleny Bajer minionych wydarzeń

Pierwszego marca 1968 roku zaczęłam pracę w Naczelnej Redakcji Oświatowej Polskiego Radia, przeniósłszy się z Wrocławia (i z tamtejszej rozgłośni) do Warszawy. Tutejszych kolegów znałam ze współpracy, która była w rozgłośni regionalnej miarą naszych dziennikarskich osiągnięć. Nową osobą był, współpracujący blisko z zespołem popularyzatorów techniki, Wilhelm Dichter, wówczas asystent na Politechnice Warszawskiej. Zaprzyjaźniony z kierownikiem redakcji cieszył się uznaniem jako autor słuchowisk i innych audycji popularnonaukowych, obficie zasilających program. Irytowało mnie czasem (myślę, że innych też) ciągle i kategoryczne stawianie „Wilka” za wzór wszystkiego wszystkim. On sam się nie pysznił ani nie wywyższał.

Ósmego marca wybrałam się z radia na Mokotowie, żeby dokonać formalnego przeniesienia z wrocławskiego do warszawskiego oddziału SDP. Autobus zatrzymał się na początku Nowego Świata, bo przejeżdżały tamtędy, blokując ulicę, samochody milicyjne na uniwersytet, gdzie miały spacyfikować wiec studentów – pierwsze i

centralne z wydarzeń marcowych. Robiło to na mnie wrażenie zaskakujące i w pierwszej chwili wydawało się nierealne, przywykłym do PRL-owskiej narzuconej i utrzymywanej stabilności. Chwilę później poczułam pierwszy raz zapach gazu łzawiącego, który w tych okolicach unosił się jeszcze parę dni.

Parę dni jeszcze, może paręnaście, przychodził do redakcji Wilhelm Dichter, na antenę poszły jego przygotowane wcześniej audycje – pod pseudonimem. Stracił pracę na politechnice, środki do życia i niedługo wyjechał do Ameryki.

*Pół wieku temu nikomu z nas
nie przychodziło do głowy, że
można by odejść z radia czy z
gazety, porzucić pracę, gdy z
umiłowanej stała się
niemożliwa do wykonywania*

To, że pracowałam w redakcji oświatowej (trafiłam do niej we Wrocławiu wbrew swojej chęci, ponieważ akurat było miejsce, a w Warszawie znalazłam się tam

niejako automatycznie) okazało się w marcu '68 i jeszcze długo później, szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Myśl, że mogłam trafić do jakiejś redakcji informacyjnej, na samo wspomnienie, budzi lęk. Trzeba powiedzieć, że pół wieku temu nikomu z nas (młodych wówczas dziennikarzy, o których mogę mówić) nie przychodziło do głowy, że można by odejść z radia czy z gazety, porzucić pracę, gdy z umiłowanej stała się niemożliwa do wykonywania. W stanie wojennym zrobiłam to – i wielu moich kolegów – jak rzecz oczywistą, bez dłuższych deliberacji i (co może zastanawiające) bez dużego żalu.

Wracając do tamtych dni... pojawiło się w redakcji oświatowej kłopotliwe zadanie: prezentowania „marcowych docentów” , tj. pracowników uczelni, którym bez progu habilitacyjnego władze nadawały stopień docenta, za rzeczywiste albo spodziewane zasługi dla państwa socjalistycznego, to znaczy dla partii/ Nie pamiętam jakichś bolesnych dylematów z tym związanych, głównie dlatego, że ci „marcowi docenci” nie kwapili się do występowania w radiu, zdając sobie sprawę z niesławy, jaka ich okryła. Wielu robiło później normalną habilitację.

Tamta rozmowa pozostawiła mi wrażenie wzorcowej postawy człowieka, który umie się powstrzymać od sądzenia bliźnich

W połowie roku 1969 przyjechała z Wrocławia szkolna koleżanka, moja i mojego męża, Anna zwana Niuśką, inżynier lądowy, mająca już wtedy

znaczące osiągnięcia zawodowe. Przez telefon nie powiedziała, że spędzi ostatni dzień w Polsce, spytała tylko czy ją przenocujemy.

Rozmawialiśmy prawie całą noc – najpierw wspominając szkolne czasy, kiedy to Niuśka, świetna matematyczka douczała tych, co chcieli się nauczyć matematyki, a leniwym dawała odpisać zdania, choć w duszy była temu przeciwna. Szybko jednak nocna rozmowa zeszła na rzeczy współczesne. Usłyszeliśmy zapewnienie, że ani w szkole ani w czasie studiów, ani potem w pracy, nasza koleżanka nie doznała przykrości z powodu żydowskiego pochodzenia (uratowała się z rodzicami w ZSRR).

Zawsze jednak odmawiano jej paszportu, a miała zaproszenia od dalszej rodziny mieszkającej w Palestynie, ponadto chciała zwiedzać świat.

Tamta rozmowa pozostawiła mi wrażenie wzorcowej, jak dziś sądzę, postawy człowieka, który umie się powstrzymać od sądzenia bliźnich, a nieunikniony żal chowa poza ocenę samego siebie i ponad zaznaną gorczyłą wyznacza sobie powinności.

Niuśka ułożyła sobie życie w Szwecji – wyszła za mąż, znalazła pracę w swoim zawodzie, i osiągnęła dobrą pozycję, fotografowała amatorsko, co było od dawna jej hobby, sprowadziła z Polski matkę, zapewniając jej dobrą starość, no i jeździła po świecie, zimą zawsze na narty w wybrane góry. Bardzo często zapraszała do siebie dawne koleżanki (żałuję, że z tego nie skorzystałam), zwiedzała z nimi Skandynawię, a w stanie wojennym obsyłała paczkami każdego, o kim wiedziała albo przypuszczała, że ma bytowe kłopoty.

W wolnej Polsce znów poprosiła o nocleg, bo musiała pochodzić po urzędach, żeby odzyskać odebrane w '68 roku polskie obywatelstwo, na czym bardzo jej zależało. Towarzyszyłam w tym i widziałam głęboką radość, gdy sprawa była załatwiona. Po paru latach Niuśka zaoferowała mi – w razie potrzeby – noclegi we Wrocławiu, gdzie kupiła kawalerkę, żeby mieć „metę” w czasie częstych przyjazdów. Miałam jeszcze wrocławski dom mamy i byłam u Niuśki tylko na obiedzie.

*Anna Sommer była jedyną
Żydówką w naszej klasie.
Uświadomiłam to sobie, kiedy
ją żegnaliśmy na Dworcu
Gdańskim*

Dopiero długo po
naszych szkolnych
czasach poznałam jej
wielką ambicję, jaką
było odnalezienie
wszystkich kolegów z
klasy maturalnej i
urządzenie

spotkania. Udało się prawie w pełni, ale nie to jest ważne ilu z nas
jeszcze żyje, ilu się wzajemnie pamięta. Słuchając nieraz o jej upartych
poszukiwaniach adresów, wiadomości o stanie zdrowia – o życiowych
losach każdego (było nas w klasie około czterdziestki), pomagając
Niuśce w kompletowaniu tego „dziennika klasowego” *ex post*,
myślałam o tym, jak silne są więzi młodzieńczych przyjaźni, a nawet
mniej niż przyjaźni, lecz wspólnych przeżyć w okresie, kiedy
zakorzeniamy się wśród ludzi, kiedy zaczynamy rozumieć, co dostajemy
od innych i co powinniśmy dawać.

Anna Sommer była jedyną Żydówką w naszej klasie. Uświadomiłam to
sobie, kiedy ją żegnaliśmy na Dworcu Gdańskim. Okazała się osobą
świadczącą dobro innym w wyjątkowym stopniu – po części za sprawą
okoliczności historycznych, które uruchomiły jej przyrodzone
przymioty. Wśród tych ostatnich jest ważna cecha do naśladowania:
zdolność przedkładania empatii ponad urazy, cieszenia się życiem z
innymi, którym się tę radość pomnaża. Nie za duże to słowa w
pięćdziesiąt lat od momentu, gdy los był dopiero próbą.

Wilhelma Dichtera nie zobaczyłam po rozstaniu w redakcji oświatowej. W '68 roku wyjechał i zamieszkał w okolicach Bostonu, pracując jako informatyk. W roku 1996 opublikował w „Znaku” powieść *Koń pana Boga*, która jest autobiografią, opisem przeżyć, także tych marcowych, żydowskiego chłopca. Uzyskała nominację do nagrody Nike, a wydana trzy lata później *Szkoła bezbożników*, również powieść wspomnieniowa, otrzymała tę nagrodę. Ostatnia książka Dichtera *Lekcja angielskiego*, jak obie poprzednie wydana przez „Znak”, ukazała się w roku 2010.

*

Pół wieku po tamtym marcu wróciły echem nastroje obawy, rezerwy, nieprzyjaznego dystansu wobec innych niż... kto? Anna Sommer i Wilhelm Dichter, i tysiące tych, którzy wyemigrowali wtedy, byli Polakami. Udało się ówczesnym politykom napiętnować ich mianem obcych, fałszywie oskarżyć o winy niepopołnione. Teraz, kiedy mamy w Europie sytuację nierównie bardziej skomplikowaną, a u siebie owe niepokojące echa, tamta lekcja staje się aktualną przestrożą.

Fot. archiwum IPN

Możemy rozwijać działania Teologii Politycznej jedynie dzięki Państwa hojności. Prosimy o darowizny: Fundacja Świętego Mikołaja, numer konta: 64 2130 0004 2001 0299

9993 0001 z dopiskiem: „tygodnik TP”